

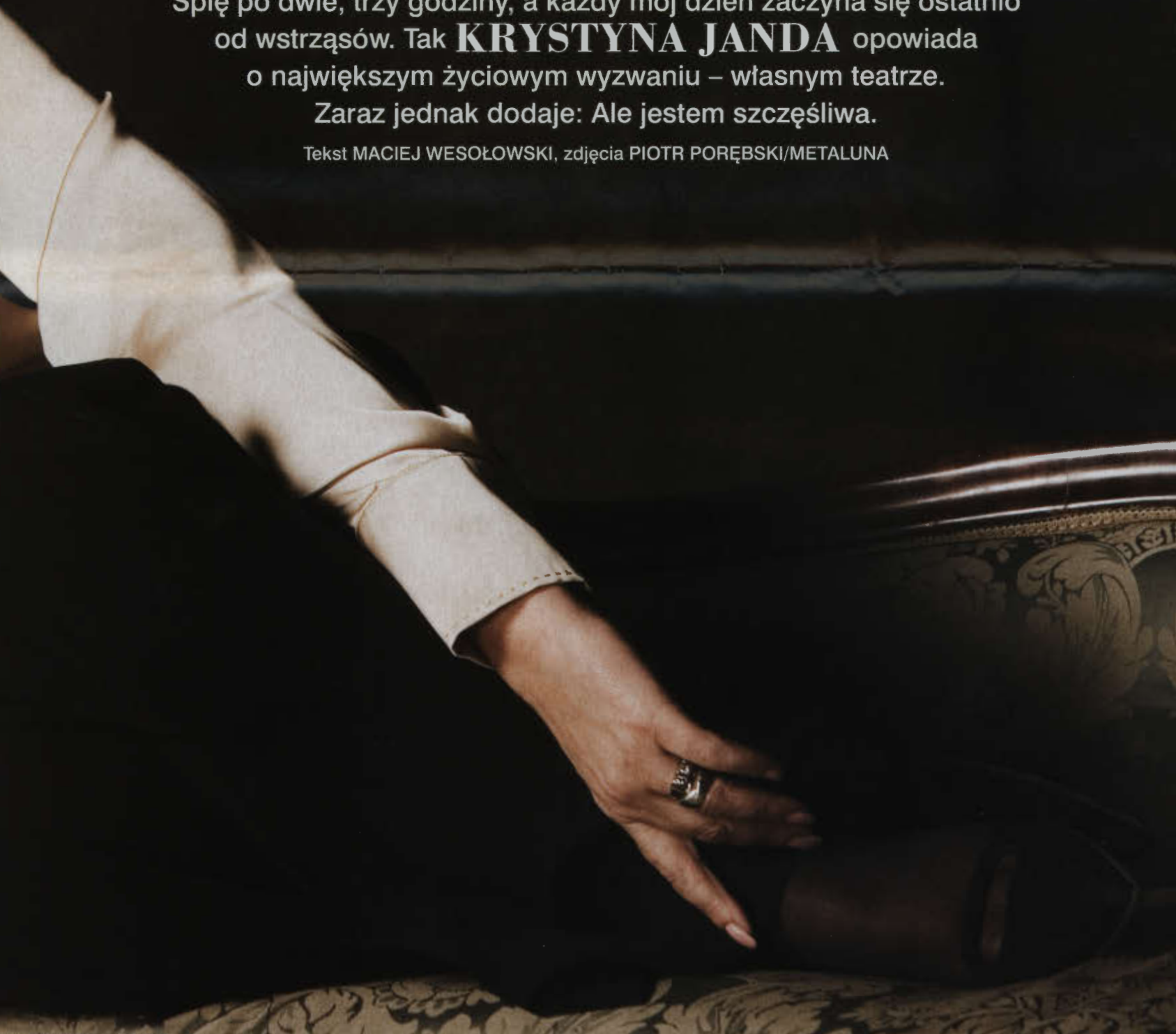


Jestem proszę. pana na zakręcie

Przeszłam kilka załamień nerwowych. Dowiedziałam się, czym jest biurokracja, poznałam wielu małostkowych ludzi. Śpię po dwie, trzy godziny, a każdy mój dzień zaczyna się ostatnio od wstrząsów. Tak **KRYSTYNA JANDA** opowiada o największym życiowym wyzwaniu – własnym teatrze.

Zaraz jednak dodaje: Ale jestem szczęśliwa.

Tekst MACIEJ WESOŁOWSKI, zdjęcia PIOTR POREBSKI/METALUNA





Mam sporo ironii i poczucia humoru na temat własnej pracy. Już tak długo pracuję, tak wiele ról zagrałam i tak bardzo cały czas mnie widać, że niektórzy reagują na mój widok alergicznie: „Nie, znowu ona! Niech ktoś nowy przyjdzie i coś zrobi!”.

D

zień zaczyna od wizyty na budowie, kończy telefonem w sprawie transportu betonu lub stali. Śpi niewiele, najwyżej trzy godziny, a w ciągu dnia w kaloszach i z kaskiem na głowie biegnie na spektakl. Lecz jej teatr rzeczywiście powstaje – w miejscu dawnego kina Polonia przy warszawskim placu Konstytucji. Janda wie, że ryzykuje wiele – w to przedsięwzięcie, poza energią, zainwestowała wszystkie oszczędności. Ale wie też, że już nie może się cofnąć. Premiera w Polsce – 29 października.

GALA: Sześć lat temu w jednym z wywiadów powiedziała pani, że wstępuje w kolejny jedenastoletni okres życia – „okres schyłkowy”.

KRYSTYNA JANDA: Nie wie pan, jak to jest z aktorkami? Czy kobietami w ogóle? Pewnie miałam taki dzień lub taki nastrój. Widocznie tamtego dnia wybierałam się na emeryturę. A teraz znów szaleję. Jestem na najostrzejszym chyba życiowym zakręcie, nie wyrabiam się, bo ślisko, ale pokonuję zakręt. Ten pomysł z własnym teatrem każe mi zmienić całe swoje życie i siebie samą zdefiniować na nowo. To trudne zadanie, bardzo trudne i nowe, nie ma przykładów dookoła. W polskim teatrze, tak jak w górnictwie, od dawna potrzebna była restrukturyzacja. Tylko dlaczego ją zafundowałam sobie w prezencie ten niewątpliwie eksperyment? Koszty są ogromne, psychiczne również.

GALA: Zanim zabrała się pani za restrukturyzację polskich teatrów, w nieprzyjemnych okolicznościach odeszła pani z Teatru Powszechnego. Zrezygnowała pani z pracy po głośnym konflikcie z Joanną Szczepkowską.

K.J.: Proszę pana, rozwiodłam się z pierwszym mężem 28 lat temu, z obecnym mężem przeżyłam życie, mamy dorosłe dzieci, a dziennikarze wciąż pytają, jaki kolor skarpetek nosił ten pierwszy. Nie pamiętam. I to naprawdę bez znaczenia. Tak samo jeśli chodzi o konflikt w Teatrze Powszechnym. To było w innym życiu.

GALA: To dlaczego założyła pani własny teatr?

K.J.: Cholera, dlaczego w tym kraju wiecznie tłumaczę się: dlaczego pracuję, dlaczego wstaję rano, dlaczego zagrałam tę rolę a nie inną? Wiecznie się tłumaczmy i przepraszamy za pomysł, pracowitość czy za to, że w ogóle coś chcemy zrobić, stworzyć, zmienić. Rozmawiamy wieczorem, wyszedł pan przed chwilą z mojego spektaklu „Mała Steinberg” w teatrze Studio, był pan poruszony i o niczym innym nie mówił przez dobrą chwilę. A czy wie pan, jak trudno było mi zrobić tę sztukę? Wyprodukować ten spektakl i namówić jakiś teatr, żeby mi wynajął salę? I pan mi zadaje pytanie, dlaczego chcę własnego teatru, własnego miejsca?

GALA: Rozpoczyna pani nowy rozdział. Całkowicie na własny rachunek.

K.J.: Mamy zrobiony biznesplan, z którego wynika, że mój teatr, ta inwestycja nie ma prawa się zwrócić. Ma też niewielkie szanse, by przetrwać z miesiąca na miesiąc.

GALA: Na czym więc opiera pani swoją wiarę, że to ma sens?

K.J.: Na entuzjazmie, naiwności, potrzebie wolności i swobody, i wierze w teatr i widzów. Podoba się panu takie wyznanie? Jest naiwne, ale w gruncie rzeczy, co i mnie samą zdumiewa, kiedy to mówię, prawdziwe. Wiem już, że będzie trudno, cholernie trudno, ale może będzie przynajmniej przez moment szczęśliwie.

GALA: Jedynie dla tej odrobiny komfortu sprzedała pani dom i zainwestowała dwa miliony złotych z własnych oszczędności?

K.J.: Cóż za kraj, wszyscy tu mówią o pieniądzech! Dla pieniędzy, nawet niewielkich, robią straszne rzeczy, utopiliby w łyżce wody przyjaciela. Pieniądze też robią na wszystkich największe wrażenie! Pomyślałam sobie, że mam przed sobą 10 lat zawodowej aktywności. To niewiele. I uznałam, że chciałabym je spędzić →

silne strony pięknej płci

Lśniące włosy, mocne paznokcie,
i jedwabista skóra...

...SILICA

Wyjątkowa kompozycja
witamin, minerałów i ziół.
Skutecznie uzupełniająca
codzienną dietę.
SILICA sprawi, że włosy,
paznokcie i skóra
będą naprawdę zdrowe.



SILICA - silnik mojej urody
Katarzyna Borowicz
Miss Polonia 2004



Preparat zawiera:

Witaminy: niacyna 10 mg (55,5% d.z.s.*), PABA 10 mg, kwas pantotenowy 7,5 mg (125% d.z.s.*), biotyna 0,16 mg (106,6% d.z.s.*); Składniki mineralne: wapń 46 mg, fosfor 37 mg, krzem 5 mg, żelazo 3 mg; Aminokwasy: L-lizyna 21 mg, L-metionina 10 mg; Zioła: skrzyp polny 30 mg, pokrzywa zwyczajna 20 mg, workolisz czlonowaty 20 mg; Składniki czynne: niacyna, kwas p-aminobenzoesowy (PABA), D-pantotienian wapnia, D-biotyna, fosforan dwuwapniowy, siarczan żelaza (II), dwutlenek krzemu, L-lizyna, L-metionina, skrzyp polny, pokrzywa zwyczajna, workolisz czlonowaty.

(*d.z.s. – procent dziennego zalecanego spożycia)

PRODUKT DOSTĘPNY W DOBRZYCH
APTEKACH BEZ RECEPTY.

Producent: Naturell AB, Szwecja



www.naturell.pl
infolinia 0801 352 252



zdrowe podejście do życia

Wszystkie dzieci w rodzinie mają do mnie stoicki stosunek.

Wiedzą, że jestem tą, która wprowadza zawsze najwięcej zamieszania.

Synowie jeszcze do niedawna mówili do mojej matki: „Babciu, czy ona musi z nami iść?”.

inaczej. Jak widać po założonym repertuarze i planach, nie mierzę najniżej. Jeśli mi się nie uda, wynajmę ten teatr innym aktorom, utrzymają to, grając farsy. Ja już raczej nie mogę sobie wyobrazić, że gram „Cztery Bułgarki i rower w łóżku”. Chociaż ludzie to uwielbiają.

GALA: Co pani czuje po miesiącach pracy nad tak trudnym przedsięwzięciem?

K.J.: Jestem tak zmęczona, że zasypiam w locie, w ubraniu, na stojąco, w każdym miejscu. Ślaniam się na nogach i jestem na granicy nerwów, ale jestem szczęśliwa. Przez pierwsze pięć miesięcy pracy nad teatrem prawie w ogóle nie spałam. Teraz śpię po 2–3 godziny. Ale już się przyzwyczaiłam do sytuacji wiecznego stresu i stania na pointach. Właściwie nic już nie robi na mnie wrażenia. Jesteśmy przed pierwszą premierą w Polsce, a tam wciąż nie ma podłóg, nie wiszą lampy.



GALA: Na czym więc opiera pani swą wiarę, że wszystko pójdzie dobrze?

K.J.: To, co zgotowałam sobie i swojemu mężowi przez ten rok, jest nieporównywalne z niczym innym. Przeszliśmy już co najmniej kilka załamań i wielkich zwątpień. Na budowie, a to naprawdę wielka budowa, co dzień rano jest katastrofa, trzęsienie ziemi, a potem napięcie wzrasta. Nic mnie już nie zdziwi, co więcej, polubiłam załatwiać sprawy nie do załatwienia albo wmówiłam to sobie. To jest niezwykła szkoła życia. Po tych kilku miesiącach nabrałam wielkiego prawdziwie filozoficznego luzu. Mam dystans. I jeszcze jedno, i to wiem na pewno, mam przy sobie człowieka, mojego męża, który stoi przy mnie murem, prowadzi i pomaga, a to wielka sprawa. Bez niego nic by nie było. Do tego znalazło się też parę osób dodatkowo, które pracują od rana do nocy, nie zwracając na nic uwagi. „Brniemy do przodu”, jak mówi mój mąż. Nie jestem sama. Mam nadzieję, że ci ludzie nigdy tego nie pożałują, nawet jeśli teraz jest tak ciężko.

GALA: Mimo tego wysiłku może potrzebowała pani takiego wyzwania?

K.J.: Może. Naprawdę dużo się w tym czasie nauczyłam. W ciągu kilku miesięcy spotkałam się z niechęcią, złośliwością, poznałam też wielu ludzi małostkowych i złych, ale towarzyszy mi także cały czas dobroć ludzka, przychylność, wdzięczność za to, co dotąd zagrałam czy zrobiłam. Spotykam ludzi, którzy stają na głowie, żeby pomóc, wielu, którzy mówią: „Powinniśmy pani dać taki teatr w prezencie, żeby pani nam dalej grała, a skoro to niemożliwe, ja pani pomogę we wszystkim, w czym można”. Bardzo, bardzo tym wszystkim osobom dziękuję. Mam nadzieję, że odwzajemnimy się wspólnym „zapomnieniem o Bożym świecie” w tym teatrze. Nic mnie dotąd nie zniechęciło. Zostawiłam peleton malkontentów i „żyjących przez zanie-

chanie” daleko z tyłu. Na szczęście mój mąż wciąż dotrzymuje mi kroku. Świetnie sprawdziła się w tej sytuacji moja córka. Marysia okazała się złotem, odkrywając w sobie nadzwyczajne talenty organizacyjne. Kiedy ja się załamywałam, ona brała sprawy w swoje ręce. Bez jej spokoju pewnie nie udałoby się tego skończyć. Ale pomogło mi też wielu ludzi, których wcześniej nie znałam. Niedawno zadzwonił do mnie Przemek Wojcieszek (ma reżyserować jeden z tytułów zimą) i na dzień dobry pyta: „Jak tam pozytywizm warszawski?”. Strasznie się śmiałam. Ale to naprawdę miłe, że ludzie patrzą na mnie z takim uśmiechem. W tym, co robię, jest miłe szaleństwo, coś, co przyciąga ludzi.

GALA: Jak się pani odnalazła w świecie biznesplanów, placów budowy i majstrów?

K.J.: Gdybym napisała dziennik budowy, nikt by mi nie uwierzył. To nie do opisanania, co zdarza się każdego dnia.

GALA: Jest pani jeszcze w stanie myśleć o sztuce, o rolach, o aktorach?

K.J.: Znamienne, że kiedy niedawno odbierałam na festiwalu w Gdyni nagrodę, dziękując ze sceny, w ostatniej chwili ugryzłam się w język i nie powiedziałam, że tego dnia moja Fundacja dostała od Centrostalu Gdańsk kilkanaście ton stali. Nie wiem, co było dla mnie tego dnia ważniejsze. Pewnie gdybym miała dużo pieniędzy i gdybym sobie to wszystko kupiła, nie byłoby takich emocji. Ale ich nie mam.

GALA: Nagroda w Gdyni nie jest ważna?

K.J.: Jest, oczywiście, że jest. Tym bardziej że film („Parę osób, mały czas”, historia przyjaźni niewidomej kobiety i poety Mirona Białoszewskiego, za którą Krystyna Janda otrzymała nagrodę festiwalu w Gdyni za pierwszoplanową rolę żeńską, a film nagrodę dziennikarzy – przyp. red.) powstawał z wielkim trudem. Zrobiony za bardzo małe pieniądze, ze specyficzną narracją pana Andrzeja Barańskiego (reżysera – przyp. red.). Przez siedem lat nie można było namówić nikogo, żeby dał na ten film pieniądze. Wreszcie, łaskawie dostaliśmy szansę, ale nie na film kinowy, a na skromny obraz telewizyjny z cyklu „Święta polskie”. W efekcie powstał film kikut, mocno zubożony o sceny plenyerowe i tak dalej. Ale zacinęliśmy zęby i zrobiliśmy go.

GALA: Czy po tylu latach ta nagroda jeszcze panią cieszy?

K.J.: Chyba pan żartuje? Każda nagroda cieszy.

GALA: Ma pani spory dystans do własnej pracy.

K.J.: Przede wszystkim mam sporo ironii i poczucia humoru na jej temat. Już tak długo pracuję, tak wiele ról zagrałam i tak bardzo cały czas mnie widać, że wielu reaguje na mój widok alergicznie: „Nie, znowu ona! Niech ktoś nowy przyjdzie i coś zrobi!”. To mnie bawi. Ale trudno. Jeszcze trochę się ze mną pomordujecie, moi państwo, albo zwyczajnie nie kupicie biletów do naszego teatru. Tu nie ma musu. Ale jak nie kupicie, teatr przestanie istnieć. Zobaczymy.

GALA: To pani nie frustruje?

K.J.: Poza tym w życiu nie tyle chodzi o to, żeby realizować własne marzenia, ale żeby te marzenia miały sens.

GALA: Pani marzenie będzie miało sens?

K.J.: Myśli pan, że nie? Nie wzięłam się nagle znikąd. Pracuję w tym kraju 30 lat, zagrałam i zrobiłam mnóstwo. Pan uważa, że moje marzenia nie mają racji bytu? Nie mają sensu? Nadal będę grała tak samo i to samo. Rzeczy, które mi się podobają. Jestem artystką całkowicie ukształtowaną i nie mam zamiaru się zmieniać. Śmiać mi się chce, kiedy przychodzą do mnie reżyserzy – zwykle młodzi – i mówią: „To teraz ja panią dopiero wyreżyseruję”. W takich sytuacjach odpowiadam: „Dziecko, w życiu zagrałam 120 ról. Grałam i stare, i chore, i kulawe, i ślepe, i zakochane, i porzucone. Chętnie pobiegnę z tobą w nową stronę, ale pozwól, że skorzystamy i z mojego doświadczenia”. Mój teatr mnie na pewno nie urodzi na nowo. Na pewno nie będę artystką np. awangardową. To prawo młodości.

GALA: Zagrała już pani wszystkie role życiowe?

K.J.: Może już wystarczy? Jestem i matką, i babcią, wciąż żoną i córką. Poza tym żyję w przyspieszonym tempie, robię trzy lata w rok.

GALA: Która z życiowych ról jest dla pani obecnie najważniejsza?

K.J.: Mam dwóch dorastających synów.

GALA: Czyli rola matki?

K.J.: Na pewno. Mamy w domu 16- i 14-latkę. Oni teraz z chłopaków stają się mężczyznami. I to jest dla nas z mężem prawdziwe zadanie, z którym się właśnie zmierzamy. Jeszcze niedawno myśleliśmy, że uda nam się prześliznąć w stereotypowy, konwencjonalny sposób, na zasadzie: „Czy odrobiłeś lekcje?”, „Jak było w szkole?” i „Pamiętaj, żebyś na motor wziął kask”. Teraz trzeba przyglądać się naprawdę temu, co tam się dzieje w ich duszach.

GALA: Ma pani jednak trochę doświadczeń. Wychowała pani córkę...

K.J.: Córka to zupełnie co innego. Moja córka w ich wieku była całkowicie niezależną, odpowiedzialną osobą. A tu mamy dwa szalejące organizmy. Nie da się tego, ot tak sobie, okiełznać.

GALA: Rola babci panią zmieniła?

K.J.: Nie, choć uwielbiam moje dzieci i wnuki. Ostatnio pojawiła się kolejna osoba w tym gronie: 10-miesięczna Jadzia, córka mojej córki Marysi. Wszystkie nasze dzieci mają do mnie zresztą specyficzny, stoicki stosunek. Od razu rozpoznają, że jestem enfant terrible całej rodziny. Wiedzą, że jestem może nie wariatką, ale tą, która wprowadza zawsze najwięcej zamieszania. Moi synowie jeszcze do niedawna mówili do mojej mamy: „Babciu, czy ona musi z nami iść? Wszyscy będą się na nas gapić! Z mamą zawsze jest zamieszanie!”. Ale jednocześnie wychowują się, obserwując nas. Jak pracujemy i żyjemy, co mówimy i co ma dla nas znaczenie. Ale nie przyznają się do nas często. Szczególnie do mnie.

GALA: Z czego to wynika?

K.J.: Dzieci nie lubią inności, ekstrawagancji, zbyt dużego okazywania uczuć. Przesady i niepokoju. Obserwują i widzą, że po nocach uczę się na pamięć, słyszą monologi z jakichś tekstów, nerwy przed premierami. W nocy pracuję. Potem wstaję, lecę do Zielonej Góry, wracam i lecę do Nowego Jorku. Cały czas zaferowana, w biegu. Dzieci nie lubią takich osób. Wolą babcię, która jest spokojna, opanowana, wiadomo, na co można z jej strony liczyć. Chłopców nie bardzo interesuje to, co robię zawodowo. Do teatru z własnej woli nie chodzą. Czasem, jak ich wyciągnę na premierę, to jest wielkie „O Jezu!”. Ale to mi jeszcze wybaczą. Natomiast kiedy raz musieli iść z gośćmi ponownie na to samo przedstawienie, dostałam takie ciągi, że do dziś pamiętam. Jedynie moja siedmioletnia wnuczka zapytała mnie niedawno: „Co to za teatr, babciu, ty tak budujesz i budujesz?”.

GALA: Co jej pani odpowiedziała?

K.J.: Powiedziałam: „Ty się, dziecko, szykuj, bo ktoś w tym teatrze musi przecież grać”.

GALA: Jak będzie wyglądać pani teatr i pani kariera za 10 lat?

K.J.: Pewnie nie będzie mi się już chciało grać. Na scenie będą inni, a ja, niczym Mira Zimińska-Sygietyńska, będę wizytować ich na próbach i mówić: „Ładnie, ładnie, oby tak dalej”.

GALA: Mówi pani, że w teatrze nie ma ani podłóg, ani oświetlenia. Jest pani w stu procentach przekonana, że 29 października wszystko ruszy?

K.J.: Dziś dla mnie, żeby odbył się spektakl, nad drzwiami musi być świecący się ludzik, który ucieka, musi być droga ucieczki, musi być hydrant, a metalowa konstrukcja musi być pociągnięta żaroodporną farbą. Do tego musi być scena i reflektor – światło. A sztuka, aktor, kostium, wzruszenie, to już wydaje się najprostsze.

Rozmawiał MACIEJ WESOŁOWSKI

Zdjęcia wykonano w Fabryce Trzciny w Warszawie.